



Z Markiem Dziony rozmawia

Dawid Smolorz

Zacznę od pytania, które nie jest związane ani z mniejszością, ani z pracą z młodzieżą. Jest ksiądz diakonem stałym. Większości zwykłych śmiertelników niewiele ta funkcja mówi.

Cóż to takiego?

Diakonat stały to posługa, która istniała w Kościele pierwotnym. Potem, około V–VI wieku zaczęła w Kościele zachodnim zanikać i przywrócił ją dopiero Sobór Watykański II. Oznacza to, że do pierwszego stopnia święceń dopuszcza się tych, którzy całe życie chcą być diakonami. Na pewnym etapie rozwoju Kościoła stwierdzono, że aby być prezbiterem, trzeba najpierw być diakonem. W związku z tym

diakonat zaczął tracić na prestiżu i zanikać. W miarę jak postępowała sekularyzacja, zaczęto rozważać przywrócenie tej posługi w Kościele, także dlatego, że diakonat jest tym stopniem święceń, który mogą przyjąć również żonaci mężczyźni. Wprawdzie można żyć w celibacie, ale większość diakonów stałych żyje w związkach małżeńskich. Diakon ma prawie takie same uprawnienia jak ksiądz. Nie może jedynie spowiadać ani odprawiać mszy świętych, ponieważ ten urząd nie ma mocy przeistoczenia i odpuszczania grzechów. Diakon może natomiast udzielać chrztów, błogosławieństwa, asystować przy zawieraniu małżeństw oraz odprawiać nabożeństwa i pogrzeby.

Czy diakoni mieszkają na plebaniach?

Diakon jest przypisany do parafii, ale jeśli ma żonę i dzieci, to oczywiście mieszka w swoim domu. Nie ma też problemu z przeprowadzką, na przykład za pracą. W takiej sytuacji dostaje dekret na nową parafię. Na plebaniach mieszkają tylko diakoni będący zakonnikami. Wszyscy diakoni, których znam w naszej diecezji, w Polsce i w Europie Zachodniej, mieszkają w swoich prywatnych domach. Nie musimy pracować wyłącznie w Kościele, to może być posługa dodatkowa. Diakon

musi mieć jakieś swoje główne źródło utrzymania – jest to wymóg w stosunku do mężczyzn żonatych. Ja jako celibatariusz mam prawo do tego, żeby być zatrudnionym w Kościele. Nie muszę, ale biskup sam zaproponował, żebym podjął pracę i posługę w duszpasterstwie mniejszości, co jest związane z pracą w Bibliotece Eichendorffa.

Ilu jest w tej chwili takich stałych diakonów?

W naszej diecezji dziewięciu, w Polsce około trzydziestu. Ja jestem jedynym celibatariuszem w kraju.



Wróć teraz do naszego głównego tematu. Dlaczego osoba duchowna angażuje się w sprawy mniejszości? Po co duchownemu silna tożsamość narodowa?

Wydaje mi się, że każdy powinien mieć w sobie silną tożsamość narodową, a zwłaszcza duchowny. Zresztą Jan Paweł II sam zawsze mówił, że nie można się odcinać od własnych korzeni. Człowiek duchowny jest oczywiście dla wszystkich, ale dla siebie też. Żeby być przykładem dla innych, żeby móc ich prowadzić, trzeba być pewnym swojej tożsamości, pewnym tego, kim się jest. Ja już przed święceniami byłem zaangażowany w działalność na rzecz mniejszości. Prowadziłem bibliotekę w Białej, pomagałem przy różnego typu uroczystościach, brałem udział w zebraniach, korzystałem z oferty warsztatów i szkoleń w ramach działań mniejszości niemieckiej. Od 2012 r. jako wychowawca jeżdżę na kolonie z dziećmi z mniejszości. Jednym słowem od dawna angażuję się w pracę społeczną, kulturalną i językową. Ukończyłem filologię germańską, specjalizację tłumaczeniową. Ten warsztat przydaje mi się w pracy naukowej. Gdyby biskup nie skierował mnie do duszpasterstwa mniejszości, może nie angażowałbym się tak bardzo. Ale stwierdziłem, że skoro jestem w tych strukturach od strony duszpasterskiej, to warto nadal działać także w strukturach świeckich. Pracując dla mniejszości, pracuje się nie tylko dla niej, ale de facto dla wszystkich. Mniejszość potrzebuje wsparcia i opieki duchowej i tak należałoby na to patrzeć. Staram się, żeby moja aktywność w pierwszej kolejności była pracą duszpasterską i pracą na rzecz zachowania tożsamości, kultury i języka. Na tyle, na ile się da, unikam zaangażowania politycznego, choć wiadomo, że polityka w sposób naturalny wchodzi w nasze życie i całkowicie nie da się od niej uciec.

Chciałem zapytać o to, jak na zaangażowanie Księdza w działalność mniejszościową zareagowali przełożeni, ale teraz już wiem, że w tej sprawie to biskup był poniekąd siłą sprawczą.

Tak, biskup i mój bezpośredni przełożony, ks. dr Piotr Tarliński, który jest też wikariuszem biskupim ds. mniejszości. To z nim konsultowałem poszczególne kroki. Zawsze też miałem jego zgodę. Bez wiedzy przełożonych nic się tu nie dzieje. W Polsce jest taka tradycja, że każde ugrupowanie, każda wspólnota ma swojego duszpasterza, czy to „Solidarność”, czy inne stowarzyszenia albo grupy zawodowe. Wydaje mi się więc naturalne, że także mniejszość niemiecka ma opiekę z tej strony.



Silna tożsamość to jedna rzecz. Ale niekoniecznie musi się ona przekładać na chęć działania. Jak to się stało, że już w młodym wieku zaangażował się Ksiądz w ruch mniejszościowy?

Zawsze potrzebowałem, żeby wokół mnie coś się działo. A jak działo się niewiele, to nie czekałem, tylko sam proponowałem swoją pomoc. I tak to zostało. Zaczęło się od małej biblioteki, która funkcjonowała u nas przy kole DFK i którą od jej powstania w 1994 r. prowadziły pani Żmuda i pani Kusber. Kiedy ze względu na wiek i stan zdrowia nie mogły już zajmować się biblioteką, groziło jej zamknięcie. Szkoda mi tego było, bo zawsze lubiłem książki. Myślałem sobie, że można by trochę ożywić to miejsce, bo znało je mało moich rówieśników. Biblioteki nie są

dziś może miejscami tłumnie odwiedzanymi, ale udało mi się przywrócić zainteresowanie tym miejscem. Wprawdzie nie było jakiegoś nagłego wzrostu czytelnictwa, ale coś wokół tej biblioteki zaczęło się dziać. I od biblioteki się zaczęło. Jeden projekt, drugi projekt, lekcje biblioteczne, które były proponowane szkole w ramach nauczania języka mniejszości. Dzieci przychodziły,

wypożyczały książki, organizowane były różne konkursy i tak zrodziły się z tego dalsze projekty, realizowane już z innymi instytucjami, z innymi organizacjami mniejszości. To potoczyło się tak jakby lawinowo.

Chciałabym, żebyśmy teraz sięgnęli jeszcze bardziej wstecz. Czy Książd odkrył w sobie w pewnym momencie niemiecką tożsamość, czy była ona w Książdu zawsze?

To było gdzieś od zawsze. Rodzice mi opowiadali, że najpierw zacząłem mówić po niemiecku, potem po śląsku, a z literackim polskim zetknąłem się dopiero jako pięciolatek w przedszkolu. Wszyscy moi dziadkowie urodzili się na Śląsku przed 1945 rokiem, z tym że dziadkowie ze strony ojca byli młodszy i aż tak dobrze po niemiecku nie mówili. Mieli trzy lata, kiedy skończyła się wojna. Ich rodzice bali się z nimi rozmawiać po niemiecku, na co dzień mówili więc po śląsku. Natomiast babcia ze strony mamy mówiła praktycznie tylko po niemiecku. Śląski znała na tyle, żeby móc funkcjonować w społeczeństwie. Przede wszystkim od niej nauczyłem się niemieckiego. Z czasem używałem go rzadziej, ale nauczyciele w szkole zawsze mówili, że ładnie mówię w tym języku i że mam dobry akcent. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że nasza rodzina jest inna niż rodziny moich nieśląskich kolegów. Zacząłem się zajmować genealogią, zastanawiać, dlaczego imiona i nazwiska moich przodków pojawiają się w brzmieniu niemieckim. Zacząłem szukać tożsamości i coraz bardziej zagłębiać się w historię rodziny. To był bardzo owocny czas. Te poszukiwania tożsamości trwały gdzieś do dwudziestego roku życia. Śląsk nie jest regionem jednoznacznym, gdzieś tam zawsze pojawiało się pytanie: kim jestem? Te poszukiwania, przemyślenia i to, co w dzieciństwie opowiadali mi dziadkowie, doprowadziły mnie do wniosku, że jesteśmy jako rodzina mocno wrosnięci w niemiecką kulturę. Język niemiecki zanikł wprawdzie w pokoleniu moich rodziców, ale przetrwały typowo śląskie i typowo niemieckie zwyczaje. To pomogło mi w uświadomieniu sobie, że mamy korzenie niemieckie, choć czeskich korzeni też się doszukałem. Stwierdziłem, że fajnie jest być takim trochę pomieszany, poplątany, jak to pani Myszyńska mówi w swoich wierszach. Zresztą ona dużo mi pomogła w moim poszukiwaniu tożsamości. Współpracowałem z nią przy tworzeniu jej kolejnych książek: „Śląskiego rozprawiania” i potem tomików poezji. I tak się ta tożsamość jakoś wykrystalizowała. Ona zawsze u nas w naturalny sposób istniała, ale nie została mi narzucona jako coś, co muszę przyjąć. Sam zacząłem szukać i sam doszedłem do przekonania, że jestem w to wrosnięty i że mi to odpowiada.

Ogólnie chyba zawsze łatwiej się żyje, będąc częścią większości. Czy świadomość, że jest Książd członkiem mniejszości narodowej, była dla Książda kiedykolwiek w jakiś sposób uciążliwa?

Może było to na pewnym etapie trudne do zaakceptowania. Zwłaszcza że w historii Polski

Niemcom często i moim zdaniem czasami niesłusznie przypisywano kolektywną winę. Będąc z zamięłowania historykiem, wiem, że tak działają mechanizmy historii. Społeczeństwa kolektywnie przypisują winę, więc trudnymi momentami były na pewno holokaust czy druga wojna światowa, ale potrafiłem sobie z tym poradzić. Może to moja silna tożsamość religijna sprawiła, że poczucie wstydu czy winy, które gdzieś mogły się pojawić, nie przeważyły. Przecież ja nie mogę być odpowiedzialny za dwadzieścia wieków historii! Ważne jest to, co robię tu i teraz. Mogę przecież wypracować pozytywny obraz polskiego Niemca, którego rodzina w trzecim pokoleniu mieszka na terenach dzisiejszej Polski. Pomogło mi także to, co słyszało się od arcybiskupa Nossola. Na pewnym etapie było to dla mnie istotne. On wskazywał, że ważne jest budowanie mostów i dążenie do pojednania, a nie dzielenie. I na tyle, na ile jest to możliwe, staram się to realizować w codziennym życiu. Mogłoby się wydawać, że młody człowiek nie jest zainteresowany tym, co mówią starsi, natomiast na swój sposób można to wprowadzać w życie. Zresztą w moim pokoleniu nie zauważa się już tak silnie dawnych antagonizmów. Nawet jeśli się gdzieś pojawiają, to raczej nie jest to już problemem. Dziś bycie innym, to, że ma się inne tradycje, raczej budzi zainteresowanie. Wydaje mi się, że to, co wcześniejsze pokolenia starały się wypracować od czasu przełomu, zaczyna dziś przynosić owoce. To ułatwiło mi funkcjonowanie. Z drugiej strony ja także jestem częścią większości. Mieszkam przecież w Polsce, pracuję na rzecz rozwoju tego kraju i mimo niepolskiego pochodzenia jestem częścią polskiego społeczeństwa. Poza tym pomaga nam tożsamość śląska, ponieważ Ślązak potrafi połączyć w sobie różne, czasem, wydawałoby się, skrajne elementy.

Jest Ksiądz przewodniczącym Młodzieżowej Rady Mniejszości. Czyli jako młody człowiek ma Ksiądz w tej pracy do czynienia z ludźmi jeszcze młodszymi.

Tak. W zasadzie wszystko zaczęło się od tego, że we wspomnianym 2012 roku jako wychowawca pojechałem na kolonie. Okazało się, że ktoś inny nie mógł pojechać, zwrócono się więc do mnie, bo miałem ukończony odpowiedni kurs. Potem w tym samym roku zostałem opiekunem ministrantów w parafii. Proboszcz poprosił mnie też, żebym pomógł w przygotowaniu młodzieży do bierzmowania – i tak gdzieś się to w naturalny sposób zaczęło. W 2016 odbywały się w Polsce Światowe Dni Młodzieży, więc też się bardziej zaangażowałem. Kiedy miałem 15, 16 czy 17 lat, w naszej parafii w Białej brakowało mi bardzo duszpasterstwa młodzieży. Trzeba było jechać na Górę Świętej Anny albo do Opola. Gdy jest się w tym wieku, jest to daleko. Człowiek nie ma jeszcze prawa jazdy, rodzice też nie zawsze mogą zawieźć. Zastanawiałem się, co by tu zrobić. Z jednym z ojców próbowaliśmy to trochę rozkręcać, wychodziło nam to raz lepiej, raz gorzej. Światowe Dni Młodzieży były takim punktem, gdzie bardzo dużo młodych ludzi udało się zgromadzić wokół tej idei. A że należałem już wtedy do starszej młodzieży, to w naturalny sposób zostałem liderem,

pomagałem, byłem w zasadzie zastępcą szefa organizacji Dni Młodzieży na tutejszy dekanat. No i pociągnąłem to dalej i w wymiarze religijnym, i w świeckim, bo staram się to jakoś łączyć, ale też nie mieszać tych elementów za bardzo tam, gdzie nie jest to potrzebne. To pomaga, bo poprzez jakąś inicjatywę dotyczącą wyłącznie spraw kultury udaje się czasem kogoś zaangażować bardziej w sprawy duszpasterskie, a poprzez duszpasterstwo – w sprawy dziejące się w mniejszości czy w jakiejś innej organizacji.

Młodzi ludzie stąd, wywodzący się z zasiedziałych rodzin o niemieckich korzeniach, są narażeni nie tylko na naturalną polonizację wynikającą z faktu, że żyją w Polsce. Pewnym niebezpieczeństwem dla tożsamości jest także postępująca globalizacja. Czy w codziennej pracy z młodymi ludźmi stara się Ksiądz w jakiś szczególny sposób wzmacniać czy ujednoznaczniać ich tożsamość?

Kiedy poznaję nową osobę, zawsze otwarcie mówię, kim jestem. Czasami spotyka się to z lekkim szokiem, niedowierzaniem, ale potem pojawia się naturalne zainteresowanie i już przez to można kogoś do czegoś pobudzić.

Ale ogólnie w pracy z młodzieżą nie można naciskać. Trzeba towarzyszyć, obserwować i przede wszystkim dawać przykład. To jest najważniejsze. Bo kiedy ja będę pewny swojej tożsamości, to mogę też kogoś w tym upewnić. Młodzież zadaje dużo pytań, tylko trzeba do niej wyjść. Trzeba się starać na te pytania odpowiadać, ale równocześnie trzeba pozostawić jakąś sferę swobody. Zaznaczyć, że są kwestie, co do których ja nie jestem w stanie udzielić ci odpowiedzi, ale mogę dać ci wskazówki, a ty sam zdecydujesz. I myślę, że to jakoś pomaga. Poza tym staram się angażować młodych w to, co dzieje się w mniejszości. Staram się sam albo we współpracy z innymi członkami mniejszości organizować dla nich wyjazdy i spotkania. Moim zdaniem w tej pracy ważne jest, żeby tę tożsamość albo podtrzymywać, albo rozbudzać lub pomóc odnaleźć. Czasem ktoś może być pogubiony w kwestii własnej tożsamości. Ta praca niewiele się różni od pracy nad tożsamością religijną. To też jest sfera, w której nikogo nie można do niczego przymusić, każdy musi sam odkryć swoją tożsamość chrześcijanina. Co mi z tego, że kogoś do czegoś zmuszę. Będzie



przychodził na spotkania do czasu bierzmowania, a po bierzmowaniu pożegna się z Kościołem. To nie ma większego sensu, dlatego w mojej pracy z młodzieżą nie zmuszam do przychodzenia na mszę czy nabożeństwa. Raczej zachęcam, żeby się zaangażować, sygnalizuję to na przykład, mówiąc: „Będę was potrzebował, żeby zrobić to i to”. Ale chcę tym pokazać, że to jest fajne, że to jest coś wartościowego, że warto się w to zaangażować. I zwykle się to udaje, wiadomo, że nie w stu procentach, ale zawsze ktoś zostaje. Na pracę z ludźmi nie mają przełożenia żadne czynniki ekonomiczne, tutaj nie liczy się ilość. Jeszcze 10–15 lat temu postmodernizm był zjawiskiem na poziomie kultury wysokiej w literaturze i sztuce – dzisiaj zszedł do myślenia młodego człowieka. I wyzwanie polega chyba na tym, żeby nawet w czasach, kiedy wszystko może znaczyć wszystko albo nic nie ma żadnego znaczenia, pomóc odnaleźć wartość tożsamości, wiary czy czegokolwiek innego, co może mieć dla człowieka znaczenie.